

ks. Marek Dziewiecki

Miłość i cierpienie

Kto kocha, ten nigdy mnie nie krzywdzi i zawsze pomaga mi przetrwać cierpienie, które zadają mi inni ludzie, albo które ja sam sobie zadaję.

Wstęp

Biblia upewnia nas o tym, że człowiek to ktoś jedyny na tej ziemi, kogo Bóg stworzył nie z nicości czy z materii, lecz z samego siebie, czyli z miłości! Każdy człowiek jest dzieckiem Boga-Miłości. Jest owocem spotkania z Tym, który jest miłością i który nigdy nie przestanie nas kochać. Bóg, który kocha nas jak własne dzieci, powołuje wszystkich do życia w radosnej świętości. **Miłość i radość (a nie cierpienie!) to dwa oblicza świętości, do której jesteśmy powołani.** Mimo to każdy z nas doświadcza nie tylko miłości i radości, ale również cierpienia. Różnimy się jedynie proporcjami między doświadczeniem miłości a doświadczeniem cierpienia. Są tacy ludzie, którzy doświadczają niemal tylko miłości i niemal wcale cierpienia. Są też i tacy, którzy doświadczają niemal wyłącznie cierpienia, a ich doświadczenie miłości jest tak marginalne, że niektórzy przestają wierzyć w istnienie miłości. Większość z nas znajduje się pomiędzy tymi dwoma skrajnymi sytuacjami, a **dla naszego losu ważne jest nie to, czy wierzymy w miłość, ale to, czy spotykamy osoby, które kochają.**

Niniejszy tekst składa się z czterech części. Część pierwsza to próba wskazania najważniejszych źródeł cierpienia. Część druga dotyczy relacji między wypaczonymi wizjami miłości a cierpieniem. Z kolei część trzecia dotyczy pytania, czy cierpienie może pojawić się także wtedy, gdy człowiek kocha w dojrzały sposób. Wreszcie część czwarta, ostatnia, to aplikacje praktyczne, dotyczące relacji między miłością a cierpieniem.

1. Główne źródła cierpienia

Skoro my, ludzie, zostaliśmy stworzeni z miłości i powołani do radości, to rodzi się odwieczne wręcz pytanie o to, skąd bierze się cierpienie? Nie wszystko w tej kwestii jesteśmy w stanie wyjaśnić. Są sytuacje, w których cierpienie pozostaje dla nas niewytłumaczalne i wydaje się bezsensowne. Ale to są sytuacje skrajne, wyjątkowe i rzadkie. W ogromnej większości przypadków jesteśmy w stanie precyzyjnie wskazać przyczyny cierpienia. Popatrzmy na podstawowe fakty w tym względzie w świetle Objawienia.

Po pierwsze, **Bóg nie jest nigdy źródłem cierpienia!** Bóg jest niewinny i nie mamy żadnych podstaw, by obarczać Go odpowiedzialnością za jakiegokolwiek cierpienie. **Gdy niewinny Bóg przychodzi do nas w ludzkiej naturze, przybijamy Go do krzyża, a później twierdzimy,**

że to On nam zsyła krzyże! Tymczasem Bóg nie zsyła nam żadnej choroby, żadnej próby, żadnej krzywdy, żadnego krzyża. Przeciwnie, jedyne, co nam zsyła, to swojego Syna, który przynosi nam miłość i błogosławieństwo. Syn Boży stał się człowiekiem nie po to, by nasz krzyż był cięższy lecz po to, by nasza radość była pełna! Jezus mówi wprawdzie o tym, że kto chce być Jego uczniem, ten powinien wziąć krzyż na swoje ramiona, ale najważniejsze jest tu słowo: **swój!** **Chodź o krzyż ucznia, a nie o krzyż Jezusa!** Jezus nie ześle nikomu krzyża. Wyjaśnia natomiast, że kto chce pójść za Nim, ten powinien pójść za Jezusem z całą swoją rzeczywistością, a więc także z rzeczywistością swojego cierpienia i krzyża. Ale to cierpienie i ten krzyż nie pochodzi od Boga i nie jest wolą Boga.

Po drugie, Bóg nie jest odpowiedzialny za cierpienie człowieka nie tylko dlatego, że nikomu On sam nie zsyła żadnych krzyży i cierpień, ale także dlatego, że **czyni wszystko, by nikt z nas nie zadawał cierpienia ani samemu sobie, ani drugiemu człowiekowi**. Stwórca poleca nam stanowczo, byśmy nikogo nie krzywdzili lecz przeciwnie – byśmy z miłością odnosili się do samych siebie i do innych ludzi. Polecenie to jest tak ważne, że przy końcu doczesności Bóg zapyta każdego z nas wyłącznie o to: czy kochałeś człowieka?

Po trzecie, **cierpienie jest zawsze efektem działania człowieka**. Może być konsekwencją tego, że człowiek nie słucha Boga, albo konsekwencją tego, że wręcz współpracuje ze złym duchem. W tym drugim przypadku cierpienie będzie oczywiście jeszcze większe. Jesteśmy w stanie wyliczyć kilka głównych źródeł cierpienia, za które odpowiedzialny jest człowiek.

a) cierpienie jako cena za miłość

b) cierpienie jako cena za naiwność

c) cierpienie jako konsekwencja własnego grzechu

d) cierpienie jako konsekwencja doznanej od kogoś krzywdy

e) niewinne cierpienie człowieka, za którym kryje się zwykle wina innego człowieka.

Gdy cierpimy dlatego, że wiernie kochamy kogoś, kto błędzi albo kogoś, kto jest krzywdzony, to warto nadal trwać w miłości pomimo cierpienia, gdyż radość z powodu miłości jest większa niż ból związany z cierpieniem. Jeśli cierpimy, gdyż mylimy miłość z naiwnością i pozwalamy się krzywdzić, to wtedy naszym zadaniem jest uwolnienie się z naiwności, a wtedy ustanie źródło naszego cierpienia. Jeśli cierpimy, bo błędzimy i grzeszymy, to warto się nawrócić i zacząć kochać, a wtedy cierpienie zniknie i powróci radość. Jeśli cierpimy, gdyż ktoś nas krzywdzi, wtedy warto krzywdzicielowi przebaczyć w sercu te krzywdy, które wyrządził nam w przeszłości, ale tu i teraz należy się stanowczo przed krzywdzicielem bronić. Jeśli trzeba, to aż do separacji małżeńskiej włącznie. Jezus uczy nas bowiem mądrej miłości, którą można streścić w formule: **to, że kocham ciebie, nie daje ci prawa, byś mnie krzywdził**. Jeśli stoimy w obliczu niewinnie cierpiącego człowieka, na przykład nieuleczalnie chorego dziecka czy kogoś doprowadzonego do kalectwa przez pijanego kierowcę, który spowodował wypadek, to wtedy takiej osobie możemy pomóc przez to, że okazujemy jej miłość i konkretną pomoc, a także przez to, że upewniamy ją, iż jej cierpienie nie jest wolą Boga i że Bóg z tą osobą współcierpi.

2. Wypaczone wizje miłości a cierpienie

Szczególnie bolesne cierpienie pojawia się wtedy, gdy mylimy miłość z jej karykaturami. Jest to błąd równie dramatyczny, jak **mylenie błogosławieństwa z przekleństwem albo życia ze śmiercią**. Popatrzmy na typowe

karykatury miłości, które prowadzą do wielkiego rozczarowania i cierpienia. W naszych czasach miłość najczęściej bywa mylona z seksualnością, z zakochaniem i uczuciem, z tolerancją i akceptacją, z „wolnymi związkami”, a także z naiwnością.

Błąd pierwszy polega na przekonaniu, że istotą miłości stanowi współżycie seksualne i że miłość to przede wszystkim sprawa popędów, hormonów czy feromonów. Mylenie miłości z popędością i biochemią prowadzi do dramatów i cierpień, gdyż popęd seksualny – tak jak każdy popęd – jest ślepy. Kto myli seksualność z miłością, ten dla chwili przyjemności gotów jest poświęcić nie tylko swoje sumienie, małżeństwo czy rodzinę, ale także zdrowie, a nawet życie. Taki człowiek popada w uzależnienia, a nierzadko popełnia okrutne przestępstwa. Seksualność oderwana od miłości prowadzi do przemocy, w tym do gwałtów, a nawet do śmierci (aborcja, AIDS). Mylić miłość z seksualnością to dosłownie mylić życie ze śmiercią.

Błąd drugi polega na przekonaniu, że miłość to uczucie, a zakochanie to szczyt miłości. Tymczasem kochać to zdecydowanie coś więcej niż przeżywać jakieś stany emocjonalne. Gdyby istotą miłości było uczucie, to nie można by było jej ślubować, gdyż uczucia bywają zmienne i nieobliczalne. Miłość to sposób postępowania, a nie nastrój. Błędne przekonanie, iż miłość jest uczuciem, wynika z tego, że każdy, kto kocha, doznaje silnych emocji. Nie istnieje miłość bez uczuć. Jeśli ktoś jest wobec drugiej osoby obojętny, to znaczy, że jej nie kocha. Nie jest prawdą, że miłość to uczucie i że ten, kto kocha, przeżywa jedynie „piękne” uczucia. Natomiast jest prawdą, że miłości zawsze towarzyszą uczucia, ale są one różne: od radości i entuzjazmu do rozgoryczenia, gniewu, żalu, i wielkiego cierpienia. W każdym słowie i czynie Jezus wyrażał miłość,

ale przeżywał przecież różne stany emocjonalne. Kiedy kochający rodzice odkrywają, że ich syn jest narkomanem, przeżywają dramatyczny niepokój, lęk i wiele innych bolesnych uczuć – właśnie dlatego, że kochają swego syna. Mylenie miłości z uczuciem sprawia, że uczucia zostają uznane za kryterium postępowania. Tymczasem stany emocjonalne – podobnie jak popędy – są ślepe, a kierowanie się nimi prowadzi do życiowych pomyłek i dramatów, do zabójstwa czy samobójstwa włącznie.

Błąd trzeci polega na przekonaniu, że miłość jest tym samym, co tolerancja. Tymczasem ten, kto toleruje, mówi: „Rób, co chcesz!”, a ten, kto kocha, mówi: „Pomogę ci czynić to, co prowadzi ku świętości”. Tolerancja byłaby postawą racjonalną jedynie wtedy, gdyby człowiek nie był w stanie krzywdzić samego siebie ani innych ludzi. Tak będzie dopiero w niebie, ale na ziemi większość zachowań człowieka nie wyraża miłości, ale prowadzi do krzywdy i cierpienia. W tych realiach, w jakich żyjemy, powiedzieć komuś: „Rób, co chcesz!” to tak, jakby powiedzieć mu: „Twój los mnie nie interesuje!”. Miłość wiąże się z troską o drugiego człowieka, a tolerancja wynika z obojętności na jego los i na jego cierpienie.

Błąd czwarty polega na myleniu miłości z akceptacją. Akceptować drugiego człowieka to tak, jakby mu powiedzieć: „Bądź sobą!”, a to znaczy: „Pozostań na tym etapie rozwoju, który już osiągnąłeś!” Tego typu przesłanie jest niewłaściwe, szczególnie wobec ludzi, którzy przeżywają kryzys. Nikt roztropny nie zachęca narkomana czy złodzieja do tego, żeby był czy pozostał «sobą». Akceptacja to znacznie mniej niż miłość, i to nie tylko w odniesieniu do ludzi przeżywających kryzys, ale także w odniesieniu do ludzi, którzy trwają na drodze rozwoju. Nikt z nas nie jest bowiem na tyle dojrzały, by nie mógł rozwijać się dalej. Rozwój

człowieka nie ma granic! Tylko w odniesieniu do Boga miłość jest tożsąma z akceptacją, gdyż Bóg jest samą miłością i nie potrzebuje rozwoju. Tymczasem nikt z nas, ludzi, miłością nie jest i nikt z nas nie powinien zatrzymać się żadnej fazie rozwoju. A jeśli się zatrzymawrozwoju, to zacznie wchodzić w kryzys i cierpieć.

Błąd piąty polega na uleganiu mitowi, że „wolny związek” to przejaw prawdziwej miłości. Tymczasem w rzeczywistości „wolny związek” w ogóle nie istnieje, tak jak nie istnieje ani „sucha woda”, „kwadratowe koło” czy „niebieska czerń”. Ludzie, którzy ulegają mitowi „wolnych związków”, deklarują sobie to, że się kochają (czyli że żyją w najsilniejszym związku, jaki jest możliwy we wszechświecie), a jednocześnie twierdzą, że w każdej chwili mogą się rozstać, gdyż związek ten do niczego ich nie zobowiązuje. Tacy ludzie posługują się wewnętrznym sprzecznym pojęciem po to, by zatuszować bolesną prawdę o tym, że ich „wolny związek” to w rzeczywistości związek egoistyczny, nieplodny i nietrwały. A takie „związki” mogą przynieść tylko jedno: rozczarowanie i cierpienie.

Błąd szósty polega na myleniu miłości z naiwnością. Tymczasem miłość jest nie tylko szczytem dobroci, ale także szczytem mądrości. Chrystus poświęcał wiele czasu na uczenie swych słuchaczy mądrego myślenia właśnie dlatego, żeby nie pomylili miłości z naiwnością. On pragnie, byśmy w miłości byli nieskazitelni jak gołębie, ale i roztropni jak węże (por. Mt 10, 16). Myli miłość z naiwnością ten, kto nie potrafi bronić się przed człowiekiem, który go krzywdzi, i „miłością” nazywa swoją uległość lub bezradność. Oto typowy przykład naiwności: alkoholik znęca się nad swoją żoną, ona bardzo cierpi z tego powodu, on przez całe lata lekceważył to jej cierpienie, a ona mimo to nie broni się i liczy na to, że jej cierpienie przyczyni

się kiedyś do przemiany męża. Tymczasem człowiek, który kocha dojrzałe, przyjmie niezawinione cierpienie pod warunkiem, że mobilizuje ono krzywdziciela do tego, by się zastanowić i zmienić. Jeśli jednak krzywdziciel pozostaje obojętny na cierpienie swojej ofiary i błądzi coraz bardziej, to osobie krzywdzonej pozostaje wtedy już tylko miłość na odległość, podobnie jak ojciec z przypowieści Jezusa na odległość kochał swego marnotrawnego syna dopóki ten się nie zastanowił i nie zmienił.

3. Dojrzała miłość a cierpienie

Z perspektywy Biblii warto przyjąć cierpienie wyłącznie w jednej sytuacji: gdy jest to cena za **dojrzałą** miłość. Takie cierpienie ma sens, gdyż jest potwierdzeniem naszej wiernej miłości, a jednocześnie stwarza tej drugiej osobie szansę na to, że też zacznie kochać – jeśli jeszcze nie kocha – albo że wytrwa do końca w godzinie próby – jak Jezus na krzyżu – jeśli cierpi niewinnie. Istotą dojrzałej miłości jest decyzja troski o rozwój danej osoby. Decyzja ta wyraża się na co dzień poprzez mądrą obecność, solidną pracowitość i czystą czułość. Najtrudniejsze zadanie tego, kto kocha, polega na trafnym doborze słów i czynów, poprzez które okazuje on miłość tej drugiej osobie. Obowiązuje tu zasada: to, czy kocham ciebie, zależy od mojej decyzji, ale to, w jaki sposób okazuję miłość, zależy od twojego zachowania. Mistrzem w tym względzie jest Jezus. Popatrzmy na Jego sposoby okazywania miłości.

Czytając Ewangelię, można by wysnuć wniosek, że Jezus jest niesprawiedliwy. **Odnosił się bowiem do spotykanych osób w niejednakowy sposób.** My, ludzie, zwykle z dumą twierdzimy, że do każdego człowieka chcemy odnosić się jednakowo i że taka postawa to znak miłości. Tymczasem poprzez swoje zachowania

Jezus wyjaśnia nam, że kto odnosi się do wszystkich ludzi w jednako-
wy sposób, ten jest albo wyjątkowo
przewrotny, albo wyjątkowo naiwny.
Odnoszenie się do wszystkich jedna-
kowo byłoby zasadne pod jednym wa-
runkiem: że każdy człowiek postępuje
identycznie. Ponieważ jednak każdy
z nas postępuje inaczej, to ten, kto
kocha mądrze, każdemu okazuje miłość
w inny sposób, czyli za pomocą innych
słów i czynów.

Jezus uczy nas wyrażania miłości
w sposób dostosowany do zachowa-
nia danej osoby. Można wymienić **pięć**
typowych grup ludzi, który spotyka
Jezus i którym potrafi okazywać miłość
w sposób dostosowany do ich zacho-
wań. Pierwsza z tych grup to ludzie
szlachetni. W jaki sposób okazuje
Jezus swoją miłość tego typu ludziom?
Przytula ich, rozgrzesza, stawia za wzór,
chroni, wspiera, chwali, wyróżnia, powie-
rza im ważne zadania. Takim ludziom
okazuje miłość z radością i w sposób,
który na ogół traktujemy jako jedyny
przejaw miłości.

Jak okazuje Jezus swą miłość lu-
dziom **błądzącym**? Otóż takich ludzi
nie wspiera, nie okazuje im czułości,
nie chwali, nie toleruje, nie akceptuje,
lecz stanowczo upomina i wzywa
do nawrócenia: „Jeśli się nie nawró-
cicie, marnie zginiecie”. Z tymi, którzy
bardzo błędzą, Jezus nie chce nawet
rozmawiać. Ich też kocha nieodwo-
łalnie i właśnie dlatego mówi im całą
prawdę: zachowujecie się jak „wie-
prze”. A z kimś takim nie ma sensu
rozmawiać, dopóki ktoś taki się nie za-
cznie zmieniać.

A w jaki sposób okazuje Jezus
swą miłość ludziom, którzy usiłują Go
skrzywdzić? Otóż stanowczo broni się
przed nimi. Kilka razy nie dał się strą-
cić ze skał, na których były położone
miasta, gdzie nauczał i uzdrowiał lu-
dzi. Równie stanowczo bronił się przed
żołnierzem, który Go uderzył. Dopiero
wtedy, gdy zakończył swą działalność
publiczną, gdyż nauczył nas mądrze

kochać (ale nie wcześniej!), pozwolił
się pojmać, przybić do krzyża i zabić
– żeby nas upewnić, już że kocha nas
do końca.

Jak okazuje Jezus swą miłość lu-
dziom **przewrotnym**, czyli – mówiąc
językiem Biblii – faryzeuszom i uczo-
nym w Piśmie? Otóż Jezus demasku-
je ich – i to publicznie, a nie w cztery
oczy. W cztery oczy demaskuje lu-
dzi grzesznych, ale mających dobrą
wolę, grzeszących w wyniku słabości,
a nie przewrotności. Tymczasem przed
ludźmi przewrotnymi publicznie ostrze-
ga tłumy: strzeżcie się ich, bo to plemię
zmijowe, które zasiadło na katedrze
Mojżesza. To ślepcy, którzy chcą tak-
że was uczynić ślepyimi. Demaskując
cyników, Jezus okazuje swą miłość
do tłumów, gdyż pokazuje, komu
nie należy ufać i przed kim trzeba się
bronić.

Jest jeszcze jedna, piąta grupa
ludzi, którym Jezus okazuje miłość
w sposób dostosowany do ich postaw
i zachowań. Chodzi tu o **ludzi wy-
jątkowo dojrzałych, którzy kocha-
ją bardziej niż inni**. W jaki sposób
okazuje Jezus miłość takim właśnie
niezwykłym, świętym ludziom? W jaki
sposób okazuje miłość Piotrowi, Ja-
nowi czy Pawłowi? Otóż przez to,
że ich wyróżnia i że to im zawierza wiel-
ką władzę oraz los Kościoła. Również
i oni popełniali błędy, a nawet grzeszy-
li, ale potrafili się nawrócić i kochać
bardziej niż inni.

Co więc należy czynić, aby ko-
chać tak, jak kochał Jezus? Po pierw-
sze, należy z radością wspierać lu-
dzi szlachetnych. Po drugie, nale-
ży szczerze upominać błędzących.
Po trzecie, należy stanowczo bronić
się przed krzywdzicielami. Po czwar-
te, należy publicznie demaskować
ludzi przewrotnych i cynicznych, czyli
takich, którzy chcą żyć kasztem in-
nych ludzi. Po piąte, warto zawie-
rzać swe życie i swój los wyłącznie
tym, którzy potrafią kochać naprawdę
i bardziej niż inni.

Ze szczególną mocą chcę podkreślić prawo i potrzebę obrony przed krzywdzicielem. Otóż jeśli dojrzałe kocham człowieka, który mnie krzywdzi, to powinienem się przed nim stanowczo bronić. Nawet jeśli jest to ktoś bardzo mi bliski, na przykład mąż, żona, rodzic czy dorastający syn. W obliczu poważnej krzywdy Kościół wprowadza nawet możliwość separacji małżeńskiej jako formę skutecznej obrony przed krzywdą. Ludzie niedojrzali twierdzą, że jeśli się bronię przed krzywdą, to kocham wprawdzie samego siebie, ale nie kocham krzywdziciela. Tymczasem krzywdziciela też wtedy kocham. Krzywdzicielowi okazuję mądrą miłość właśnie przez to, że się przed nim bronię, gdyż wtedy ma on jedną ofiarę mniej na sumieniu.

Jeśli natomiast kocham kogoś, kto okazuje się człowiekiem szlachetnym, uczciwym, godnym zaufania, to miłość okazuję mu przez to, że zawierzam mu siebie i moich bliskich. Kochać powinniśmy wszystkich ludzi, ale nikt z nas nie powinien wiązać się z kimś, kto nie potrafi kochać. Małżeństwo zawiera się nie po to, by ratować kogoś, kto jest w kryzysie czy kto nie radzi sobie z własnym życiem. Od ratowania ludzi w kryzysie są terapeuci, instytucje resocjalizacyjne, ośrodki pomocy społecznej, ale nie małżeństwo. Małżeństwo winni zawierać wyłącznie ci, którzy potrafią kochać: wiernie, dojrzałe, nieodwołalnie. Nikt z ludzi nie jest ideałem, ale jeśli ktoś ma poważne problemy z samym sobą, to musi poradzić sobie z nimi przed ślubem. Jak może bowiem złożyć przysięgę miłości ktoś, kto nie umie kochać? Byłaby to kpina z Boga i z ludzi.

Człowiek mądrze kochający, czyli święty, to nie Boża gapa. To nie ktoś, z kogo ludzie przewrotni mogliby bezkarnie kpić czy kogo mogliby bezkarnie krzywdzić. Jan Paweł wzruszał ludzi dobrej woli, ale przerażał cyników. Bali się go tak bardzo, że chcieli go zabić. Strzelali do niego. Zaczynam być

chrześcijaninem (zaczynam!) dopiero wtedy, gdy rozumiem, na czym polega miłość i gdy rozumiem to precyzyjnie! Ogólniki typu: „Kochajcie wszystkich jednakowo!”, „Bądźcie dobrzy i życzliwi dla wszystkich!” to tylko slogany, które wprowadzają w błąd. Chronić samego siebie i innych ludzi przed cierpieniem potrafi jedynie ten, kto siebie i bliźnich kocha w taki sposób, w jaki Chrystus pierwszy nas pokochał, gdyż innej miłości nie ma.

4. Aplikacje praktyczne: kochający ojciec i marnotrawny syn

Jeśli pomagamy komuś, kto błędzi, to pomagamy mu błędzić.

Jak uczyć się mądrej miłości, która przynosi trwałą radość i chroni przed cierpieniem? Gdzie szukać konkretnych, szczegółowych wskazań w tym względzie? Chyba najłatwiej zrozumieć zasady Jezusowej miłości w oparciu o analizę przypowieści o synu marnotrawnym i mądrze kochającym ojcu. Ta przypowieść to genialny wykład na temat miłości w każdej sytuacji. To najwspanialsza w historii ludzkości lekcja na temat miłości nieodwołalnej, miłosiernej, a jednocześnie mądrej. **Żaden profesor na żadnej uczelni świata nie wygłosił nigdy tak precyzyjnego i jasnego wykładu na temat miłości, jak uczynił to Jezus w swojej przypowieści.** Wszystkie książki świata na temat miłości nie zawierają niczego, czego nie byłoby w tej przypowieści. Takiej zwięzłej i nieomyślnej lekcji miłości mógł udzielić nam jedynie Bóg. Popatrzmy zatem na najlepszy w historii ludzkości wykład o mądrej miłości.

Punkt wyjścia tej historii jest bardzo radosny. Oto jest ojciec – symbol samego Boga – ma dwóch synów. Ojciec z przypowieści Jezusa kocha nieodwołalnie i serdecznie, wychowuje mądrze swoich synów, uczy ich solidnej pracy i pomaga im przeżywać radość istnienia. Taki jest punkt wyjścia tej przypowieści.

Można powiedzieć: sielanka rodem z rajskiego ogrodu. Szybko jednak pojawiają się czarne chmury. Oto któregoś dnia młodszy syn oznajmia ojcu, że chce zabrać przypadającą na niego część majątku i odejść. Czyż postawa tego syna nie jest typową postawą człowieka XXI wieku, który uważa się za »nowoczesnego« i »postępowego«? Nigdy dosyć przypominania, że za nowoczesnych i postępowych uchodzą dzisiaj ci, którzy powtarzają najbardziej archaiczne i najbardziej groźne mity świata. Są to te same mity, którym ulegli pierwsi ludzie na początku historii ludzkości. To mity powtarzane od Adama i Ewy. To zwłaszcza mit o tym, że istnieje łatwo osiągalne szczęście; że można żyć na luzie i robić, co się chce; że można samemu odróżnić dobro od zła i być wręcz jak Bóg.

Młodszy syn z przypowieści Jezusa to typowy człowiek XXI wieku. Jest bezmyślny, naiwny, wręcz głupi, jednak w swojej naiwności uznaje samego siebie za mądrego i postępowego. Uważa siebie za mądrzejszego od ojca, który przez całe dzieciństwo i młodość uczył swoich synów kochać i pracować. Opuszcza ojca po to, by szukać szczęścia osiągniętego bez wysiłku, bez pracy w polu, bez trwania w miłości. Szuka łatwych pieniędzy i kieruje się „dyskotekową” filozofią życia na zasadzie: wino, dziewczyny i śpiew.

Postawa tego bezmyślnego młodzieńca chyba nikogo dzisiaj nie dziwi. Może nas natomiast zdziwić postawa ojca. Wydaje się bowiem, że po prostu pozwala synowi odejść. I jeszcze daje mu pieniądze! Czyżby ojciec nie zdawał sobie sprawy z tego, że syn zejdzie na złą drogę, że roztrwoni majątek i że wyląduje w chlewie? Czyż nie powinien był powiedzieć: „Synu, nie dam ci tych pieniędzy, nawet jeśli ci się należą. A jeśli podasz mnie do sądu, to być może zanim sprawę wygrasz, zdążyś zmądrzeć”?

Czyż nie mógł apelować do sumienia swojego syna albo od jego uczuć: „Synu, jeśli odejdziesz, to przez ciebie dostanę zawału serca. Przecież wiesz, że cię Kocham!” Ojciec powinien zrobić wszystko, aby syna zatrzymać. Tymczasem wydaje się, że nie zrobił nic.

W rzeczywistości **ojciec uczynił wszystko, co możliwe, aby syn nie odszedł**. A cóż takiego uczynił ojciec, by zatrzymać syna przy sobie? Odpowiedź jest piorunująco prosta: kochał! Kto kocha, ten czyni wszystko, by ta druga osoba nie odeszła od Boga, od bliskich, od miłości, od własnej godności. Więcej uczynić już nie można, gdyż nie istnieje nic większego niż miłość. Nie istnieje większa siła niż moc miłości! Nie można zrobić nic więcej, niż kochać! Ojciec z przypowieści kochał swego syna i dlatego zrobił absolutnie wszystko, co mógł zrobić, by jego syn był szczęśliwy, by nie odszedł, by kochał i pracował, by nie zszedł z drogi błogosławieństwa i życia. Przymuszać można do zła, ale do dobra można jedynie zachęcać. Dobrem można jedynie fascynować, Kochając.

Chyba nikt nie ma wątpliwości co do tego, że nie można chronić drugiego człowieka inaczej niż poprzez miłość. Może jednak pojawić się pytanie: A skąd wiadomo, że ów ojciec rzeczywiście kochał syna? Może ta jego miłość nie była jednak dojrzała? A może ojciec bardziej kochał starszego syna i dlatego ten młodszy postanowił odejść? Otóż z całą pewnością możemy stwierdzić, że ojciec kochał także młodszego syna. Dowodem jest zachowanie tego syna, który postanawia odejść. Ktoś, kto chce odejść od Boga, od najbliższych, od miłości, od uczciwości – szuka pretekstu. Nikomu nie jest łatwo odejść. Nawet narkoman, alkoholik czy pospolity drań nie powie ot tak sobie: „Mamo, tato, jesteście dla mnie nikim, gardzę waszą miłością, odchodzę i w ogóle nie będę się o was martwić”. Każdy odchodzący szuka pretekstu, by jakoś „usprawiedliwić” swoje odejście.

Syn z przypowieści Jezusa czepiłby się choćby najmniejszego pretekstu, gdyby tylko mógł coś ojcu zarzucić. Gdyby tylko mógł, to powiedziałby na przykład coś takiego: „Ojcze, odchodzę, bo sam wiesz, że różnie to między nami bywało, a ty nie zawsze umiałeś mnie kochać”. Ów syn dałby wiele, by móc coś takiego powiedzieć, gdyż wtedy byłoby mu lżej odejść. Jednak nie może ojcu niczego zarzucić. Nie znajduje nawet pretekstu, by uzasadnić swoje odejście. Nawet dla syna w kryzysie było oczywiste, że ojciec go kocha. I co z tego? Nic. Syn zakpił sobie z miłości ojca i odszedł.

Co czynimy wtedy, gdy kochana przez nas osoba odchodzi? Jesteśmy wystawieni wtedy na wielką próbę. Zwykle też popadamy w kryzys. Nasze trudności biorą się stąd, że kierujemy się wtedy raczej uczuciami niż miłością. W konsekwencji zachowujemy się wobec odchodzącego albo naiwnie, albo okrutnie, w zależności od tego, jakie uczucia w nas zwyciężą. U kobiet wygrywa zwykle litość, współczucie, chęć „poświęcenia się” dla odchodzącej osoby. „Proszę księdza, mój syn/mąż/ojciec pobłądził, ale to dobry człowiek. Odwiedzam go w więzieniu i uratuję go, choćbym miała stracić wszystkie pieniądze”. Tego typu naiwna postawa kobiety to nadstawianie policzka za kogoś, kto błądzi. To okradanie błądzącego z naturalnych konsekwencji jego błędów. W obliczu takiej postawy matki, żony czy córki, ten ktoś nadal będzie błądził, aż wejdzie w taką fazę kryzysu, że umrze. Jeśli błądzący nie ponosi konsekwencji swoich błędów, to nie przestanie błądzić.

Druga skrajność to wycofanie miłości wobec błądzącego i okrucieństwo. Zdarza się, że ojciec mówi synowi: „Zhańbiłeś rodzinę, zmarnowałeś pieniądze więc nie masz już prawa powrotu! Giń marnie, bądź wyklęty! Już cię nie kocham, a twój los już mnie nie interesuje”. Tego typu postawa rozgoryczonego i bezlitosnego ojca

to także przejaw kierowania się uczuciami, zamiast miłością. Kto w trudnych sytuacjach kieruje się uczuciami, ten nie kocha, lecz krzywdzi: staje się naiwnym rozpieszczaczem albo bezlitosnym okrutnikiem.

Tymczasem ojciec z przypowieści Jezusa nie popełnia tych błędów i nie kieruje się uczuciami. Nie wycofuje miłości, gdyż miłość jest nieodwołalna. Potwierdza swoją miłość do syna, który odszedł. Codziennie wychodzi na drogę z nadzieją, że ukochany syn powróci. Zaniebduje pracę w polu, gdyż ten, kto kocha, wie, że osoby są nieskończenie ważniejsze niż rzeczy i niż majątek. Wychodzi na drogę i patrzy w kierunku, w którym poszedł jego syn, wysyła mu znaki. Świat już wtedy był mały. Ojciec wiedział, że do syna dotrze wiadomość, iż on go wypatruje, że na niego czeka. Dzisiaj pewnie by mu wysyłał SMS-y czy e-maile. Wtedy wychodził na drogę i wiedział, że ktoś ze znajomych opowie błądzącemu o miłości i o nadziei ojca oczekującego na powrót ukochanego syna.

Ojciec kocha syna nieodwołalnie, ale mądrze i dlatego pozwala mu, by cierpiał. Nie wymierza mu kary, ale nie przeszkadza synowi w ponoszeniu konsekwencji błędnych czynów. To, co spotyka syna, to nie dopust Boży, ani zemsta ze strony ojca, lecz wyłącznie naturalny skutek zachowań tegoż syna. Jeśli ktoś robi wszystko, by błądząca osoba nie ponosiła konsekwencji swoich własnych błędów, to nie kocha, lecz staje się złodziejem. Okrada bowiem błądzącego z naturalnych konsekwencji jego błędów, a wtedy błądzący nie czuje potrzeby, by mobilizować się do zmiany i nawrócenia.

Ojciec z przypowieści nie jest naiwny. Nadal kocha swego syna, ale nie zawozi mu pieniędzy, jedzenia czy ubrań. Nie wysyła do syna służących z darami. A gdy syn wraca, ojciec przyjmuje go z radością i urządza mu święto. Nie wypomina synowi tego,

że zhańbił swoje dobre imię, że roztrwonil majątek. Ojciec nie brzydzi synem wracającym z chlewa i wyglądającym jak nędzarz. Przyjmuje go jak kogoś godnego miłości i obdarowuje pierścieniem oraz szatami.

Gdyby ojciec poszedł do syna wtedy, gdy syn jeszcze błędził, gdyby zawiózł mu pieniądze i ubrania, wtedy błędzący syn chętnie przyjąłby te dary. Nie wróciłby jednak do ojca, lecz kontynuowałby rozrutny i grzeszny tryb życia, ale już nie za własne pieniądze lecz za pieniądze ojca! Taka dobrotliwa „miłość” i taka naiwna pomoc dobiłaby syna. Ojciec niechcący pomógłby synowi wejść w jeszcze bardziej dramatyczną fazę kryzysu. Jeśli pomagamy komuś, kto błędzi, to pomagamy mu... błędzić. Jeśli mądrze kogoś kocham, to nie pomagam mu błędzić. To kocham i czekam, aż błędzący zastanowi się i wróci.

Ktoś może powiedzieć: „Rzeczywiście ojciec kochał syna mądrze, ale może mógł wyjść w kierunku syna trochę dalej i wtedy syn szybciej by się zastanowił i wrócił.” Otóż Bóg wychodzi do nas aż nazbyt daleko! Kto opowiada tę przypowieść? Syn Boży, czyli Ten, który wyszedł ze swoją miłością ku nam aż tak daleko, że stał się jednym z nas i pozwolił się przybić do krzyża. Czy w tej sytuacji możemy zarzucić Bogu, że za mało dla nas uczynił i że za mało wychodzi w naszym kierunku? Bóg uczynił dla nas tak niewyobrażalnie dużo, że gdyby poszedł jeszcze krok dalej, byłaby to już naiwność. **Bóg może sobie pozwolić na heroizm, ale nigdy nie pozwoli sobie na naiwność.** Ten, kto kocha, nie pozwala na to, by błędzący wykorzystał go do trwania w złu i do uciekania od prawdy o sobie. **Problemem nie jest to, że błędzący cierpi, lecz to, że błędzi!**

Ojciec z przypowieści Jezusa wie, że syn może sobie zakpić z miłości (Boga i człowieka), że może nie cenić swej własnej godności i wolności,

ale z jednego sobie nie zakpi: z własnego cierpienia. **Człowiek w kryzysie traci wrażliwość na cierpienia innych, ale pozostaje wrażliwy na własne cierpienie.** Z własnego bólu sobie nie kpi. Bóg o tym wie i dlatego nie zabiera nam cierpienia wtedy, gdy błędzimy. Syn marnotrawny korzysta z szansy, jaką otrzymał dzięki mądrej miłości ojca. Cierpienie skłoniło go do refleksji, a pewność, że jest kochany, dała mu odwagę i siłę, by zmienić się w syna powracającego. Jeśli ktoś nie chroni siebie, życia i godności mocą miłości, której doświadcza od Boga i ludzi, to ostatnią deską ratunku pozostaje dla niego jego własne cierpienie.

Może ktoś powiedzieć, że przecież syn marnotrawny mógł nie skorzystać z otrzymanej szansy. Mógł wpaść w rozpacz i odebrać sobie życie, jak Judasz. Owszem, mógł... Ale wtedy nawet Bóg byłby bezradny. Jeśli ktoś, kogo kochamy, błędzi, to pozwólmy mu ponosić konsekwencje swych błędów. Nie przeszkadzajmy mu cierpieć. A jeśli umrze, zanim się zastanowi i nawróci, to będziemy mieć świadomość, że ten ktoś nie skorzystał wprawdzie z miłości Boga i miłości, **ale myśmy nie ułatwili mu błędzenia. Dopóki ktoś błędzi, nie chce od nas miłości, lecz chce naszej naiwności**, naszych pieniędzy, naszej pomocy, by trwał w kryzysie. Taki człowiek wystawia nas na największą próbę miłości.

Syn marnotrawny korzysta z mądrej miłości ojca, nawraca się i staje się synem powracającym. Uznaje swoje błędy i odzyskuje swoją godność. Każdy z nas, ludzi (poza Maryją), jest dzieckiem marnotrawnym, ale nie każdy powraca. Omawiana przypowieść jest więc przypowieścią nie o synu marnotrawnym, ale o synu powracającym, gdyż nie jest to przypowieść o wszystkich ludziach, ale tylko o tych, którzy potrafią powrócić. Jednak nawet wtedy, gdy ktoś w ziemskiej perspektywie nie powraca, możemy zachować

nadzieję, że **zdoła powrócić jeszcze w procesie umierania, czyli spotkania twarzą w twarz z Bogiem**, który nie chce śmierci grzesznika, lecz żeby się nawrócił i żył.

Przypowieść o powracającym synu to dla nas upewnienie o tym, że w świecie osób nie ma procesów nieodwracalnych. Takie procesy występują jedynie w świecie rzeczy. Dla przykładu, jeśli jakiś kryształ rozsypie się na kawałki, to nie da się go już skleić i ocalić. Lecz jeśli „rozsypie się” człowiek jako osoba, jeśli zacznie błędzić i ranić samego siebie, to — z pomocą Boga — jest możliwy proces „sklejania”. „Rozsypany” i poraniony człowiek może się zastanowić, zreflektować, uznać swój błąd i się zmienić, powrócić na drogę błogosławieństwa i życia. Może zacząć kochać.

W jaki sposób możemy upewnić naszych błędzących i poranionych bliskich, że ich kochamy? **Przyjmując ich z miłością wtedy, gdy postanowią powrócić. Dopóki błędzą, nie możemy udowodnić, że ich kochamy, choćbyśmy nawet oddali za nich życie.** Syn marnotrawny nigdy by się nie przekonał o tym, że ojciec nadal go kocha, gdyby nie wrócił. Nawet jeśli docierały do niego informacje o tym, że ojciec ciągle go wypatruje, że wychodzi na drogę, że przestał się zajmować doglądaniem własnego majątku, to błędzący syn pewnie sądził, że ojciec robi to po to, by chwalili go sąsiedzi albo dlatego, że ma wyrzuty sumienia wobec syna. Ojciec wie, że dopóki syn błędzi, dopóty nie uwierzy, że jest kochany i dopóty nie można mu pomóc.

Syn powracający ratuje siebie i upewnia się o tym, że jest kochany. **Wracając, ratuje też ojca przed dramatycznym cierpieniem.** Swoim powrotem urządza ojcu większe święto, niż ojciec urządził jemu. Ojciec jest bowiem bardziej wrażliwy, bardziej kocha, a przez to jego radość z powrotu syna jest większa niż radość syna z powrotu

do ojca. Każdy, kto się nawraca, ratuje Boga przed cierpieniem. I urządza Mu święto. A Bóg wzrusza się wtedy głęboko i radośnie. Już w Starym Testamencie jest mowa o tym, że Bóg się cieszy, że się smuci, że zazdrości... Oczywiście, w języku biblijnym są to tylko analogie. Ale Nowy Testament mówi nam o tym, że Syn Boży stał się prawdziwym człowiekiem, nie przestając być prawdziwym Bogiem. I jako prawdziwy człowiek nieraz się cieszył, wzruszał do łez, niepokoił czy nawet złościł i bał. A z wysokości krzyża wołał do Ojca: „Boże mój, Boże mój, czemuś Mnie opuścił?” (Mk 15,34).

W analizowanej przypowieści jedyną do końca negatywną postacią jest starszy syn, który formalnie nie odszedł. Jest on negatywną postacią dlatego, że nie kocha. Niektórzy twierdzą, że ów starszy syn słusznie się buntował, gdyż dlaczego miałby dzielić się swoją częścią majątku z bratem, który własny majątek roztrwonił. Tymczasem nigdzie nie jest napisane, że starszy syn miałby dzielić się majątkiem z powracającym bratem. Ojciec prosi go jedynie o to, żeby zechciał z nimi świętować. Młodszy syn nieuchronnie poniesie konsekwencje swoich błędów, gdyż będzie musiał zacząć od zera. Jednak szybko się dorobi, gdyż umie pracować, a teraz już wie, że *na pewno* jest kochany przez ojca i że sam kocha. W konsekwencji będzie odtąd pracował z radością, a przez to i efektywnie. Odzyska wszystko to, co stracił. Znacznie trudniej odzyskać miłość i radość niż majątek.

Ktoś, kto kocha, poradzi sobie w życiu. Ojciec wie o tym. Właśnie dlatego nie prosi starszego syna o to, by podzielił się z młodszym swym majątkiem. Prosi go tylko o to, żeby z nimi świętował, żeby się cieszył z tego, że odzyskał brata, że jego brat nie zginął. Ale starszy syn nie chce przyjść na to świętowanie i jeszcze robi ojcu wymówki. Kto nie kocha, ten może formalnie nie odejść od Boga, Kościoła,

małżonka, dzieci, a mimo to może utracić radość życia. A ktoś, kto traci radość, zaczyna szukać czegoś, co da mu jej namiastkę: romanse, pieniądze, alkohol, władzę... **Można odejść, nie odchodząc.** Najbardziej radykalną formą odejścia od Boga, ludzi i od szczęścia jest egoizm. **Egoista odchodzi nawet od samego siebie.** Zaczyna zdradzać samego siebie. Zaczyna umierać w tym, co w nim jest najbardziej szlachetne, wartościowe i Boże. Zaczyna cierpieć, gdyż nie kocha.

Zakończenie

Bóg stworzył nas z miłości i powołał do życia w miłości i radości. To jest jego zamysł i marzenie. Dał nam wolność, gdyż na życie w miłości i radości może zdecydować się tylko ktoś, kto jest wolny. W Dekalogu wyjaśnił nam Bóg, w jaki sposób postępować, by nikogo nie krzywdzić i by życie stało się dla nas radosnym świętem. **Cierpienie pojawia się wtedy, gdy ktoś z ludzi oddala się od Boga, a przez to oddala się od prawdy, miłości i radości. Miłość to najlepszy sposób zapobiegania cierpieniu oraz najlepsze**

lekarstwo na cierpienie, jeśli ono już się pojawi. Pod warunkiem, że jest to miłość dojrzała, czyli taka, jakiej uczy nas Jezus.

Naszym powołaniem jest kochać, a nie szukać cierpienia! Tylko ci, którzy zupełnie wypaczyli przesłanie Biblii, „kochają” bardziej cierpienie niż Boga i ludzi. Przy końcu doczesności Bóg nie zapyta nas o to, czyśmy cierpieli lecz wyłącznie o to, czyśmy kochali. Jeśli trwam w miłości także wtedy, gdy z tego powodu cierpię, to trwam na drodze zbawienia, ale nie dlatego, że cierpię, lecz dlatego, że kocham. Jeśli natomiast cierpię, ale nie kocham, to takie cierpienie nie przybliży mnie do zbawienia. Przeciwnie, zwykle okazuje się drogą do rozpacz, gdyż kto nie kocha, ten wcześniej czy później popada w rozpacz nawet wtedy, gdy nikt z zewnątrz nie zadaje mu cierpienia. **Chrześcijanin to ktoś, kto ma święte prawo bronić przed krzywdą i niezawinionym cierpieniem.** Błąd popełniamy jedynie wtedy, gdy bronimy się przed miłością. Kto kocha, nawet jeśli przychodzi mu za to płacić cenę cierpienia, ten doświadcza radości, jakiej ten świat mu ani dać, ani zabrać nie może.

Dariusz Adamczyk

Reklama w życiu dziecka

Reklama stanowi sposób oddziaływania na potencjalnego odbiorcę w celu nakłonienia go do zakupu danego produktu, czy skorzystania z danej usługi. Reklama stała się stałym elementem naszej rzeczywistości. Wpływa na statystyczny odbiorcę

wykorzystując przy tym siłę sugestii. Twórcy reklamy starają się wykreować w świadomości odbiorcy potrzeby, które mogą zostać zaspokojone przez ich towary lub usługi. Oddziałują na sposób myślenia i zachowania potencjalnych odbiorców¹.

¹ Por. Papieska Rada ds. Środków Społecznego Przekazu, *Etyka w reklamie*, „L'osservatore Romano” 11 (1997) nr 1; M. Lis, *Pozorne dobro, ukryte zło: edukacja komercyjna w mediach*, „Horyzonty Wychowania” 4 (2005) (7), s. 205; D. Adamczyk, J. Sytnik-Czetwertyński, *Od filozofii do teologii. Rozważania o wartościach*, Kielce 2007, s. 35.